ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. niedziela 20 maja 1934 r. Nr. 21

Adolf Nowaczyński

Walkowicz i Walkerówna

Bardzo jest niedobrze, że tak nic a nic a nic nie zajmujemy się Polonją Amerykańską. Oczywiście znany kontrargument, że mamy wbród swoich trudów i kłopotów i zgryzot, więc poco sobie jeszcze nowych przymnażać, niech tam sobie sami radzą. Ale w każdym razie nie wypada i nie godzi się. Bądź co bądź imponująca cyfra 3.342.000, a w gruncie rzeczy będzie znacznie więcej, z czego przeszło dwa miljony już tam urodzonych c i t i z e n s, bądź co bądź więcej o półtora miljona od Duńczyków, więcej od Norwegów, Łotyszów, Estów, Litwinów, Holendrów, a ci mają przecież swoje państwa.

A tymczasem powinniśmy jednak być im wdzięczni bo i język i wiarę przechowali, a w ostatnich latach zaczynają i socjalnie i politycznie dojrzewać i wyzwalają się energicznie z fazy i z formy chłopsko - emigranckiej. Dopóki poczciwcy przesyłali do kraju dużo dolarów (w jednym roku 1929 przeszło 85 miljonów złotych!) tośmy tam jeszcze dla nich byli gorętsi i wylewniejsi. Teraz zaś tak jakby ich już nie było. Straciliśmy dla nich wszelkie zainteresowanie. Już niema wycieczek „rodaków z za Oceanu" już niema korespondencyj stamtąd i cały kontakt przerwany, czy rozluźniony.

Najbardziej nie jest pięknie, że tak nic a nic amerykańską Polonją nie zajmuje się prasa polska. Nie czyta się ich gazet, nie umieszcza o ich życiu relacyj, nie jedzie tam żaden powieściopisarz (Goetel! Goetel!), żeby literaturę wzbogacić „Panem Balcerem z Buffalo"... A tu w Warszawie nikogo też nie można przykładem zachęcić, żeby wertował tamtejszą przezabawną prasę i wyciągał z niej niekiedy interesujący, niekiedy groteskowy materjał. A to przecież kopalnia i całkiem inne, całkiem „nowe światy".

Wychodzi tam przecież w Stanach 13 pism politycznych codziennych a 18 tygodników politycznych. Jako tako sobie radzą i choć niektóre „editorjały" ledwo zipią i bokami robią, to inne rekordy i „n e w s - p a p e r s" prezentują się wcale bogato i okazale, jak na polski „standard of living" oczywiście. Ale i tam są polityki i tam są polemiki i spory („potępienia"?) d e l a n a c a p r i n a, czyli o skórę na niedźwiedziu. Istnieją pisma polskie nawet w miastach o tak dziwnych nazwach, jak Utica (Cato) lub Toledo, choć niema gazet polskich w takich miastach jak Pulaski, Częstochowa, „Matkaboska" (sic!). W dziennikarskiej profesji i branży przeważają nazwiska wieśniacze, czyli chłopskie, a nadto dużo współpracuje księży z którymi „postępowcy" ze „sanatek" walczą z zabawną zajadłością.

Wogóle orjentacje partyjne eksponują się w większych skupinach polskości do niedawna jeszcze z olbrzymią dynamiką. Takie walki na pióra redaktora Barcia z red. Jasiorkowskim, Stańca z Jurewiczem, Przydatka z Oraczem, Przyprawy z Błazewiczem przypomniały żywo pojedynki homeryckich postaci. Narodowo okolicznościowy poeta Polonji Amerykańskiej nazywa się Luxenburg, podczas gdy ze starego kraju najpopularniejszym jest Henri Zbierzchowski. Najradykalniejsze pisma postępowo wolnomyślące noszą nazwy „Czas" i „Głos Narodu". Prezesem Syndykatu Dziennikarskiego jest redaktor „Rekordu Codziennego" (Detroit) p. Soyda, nie Seyda, Soyda. Rzymowskim Polonji Amerykańskiej jest kolega Walavendez, zawziętymi, nieprzejednanymi wrogami „Pana Komendanta" ksiądz Bujnowski, redaktor „Przewodnika Katolickiego" i ksiądz Figas z Buffalo, podczas gdy „dałby się porąbać" ksiądz biskup Bonczak z Narodowego Kościoła, ksiądz Ant. Sobieniowski, Cesio Łukaszkiewicz, kawaler orderu Bałachowicza i Polonji Restituty oraz dzielnie długie lata się trzymający liberał w warszawskim dawnym stylu senior drukarstwa Siemiradzki. Dzielnie prowadzi główny organ narodowy „Kurjer" autentyczny hrabia z Galicji z amerykanką ożeniony Brohojewski, który dobrowolnie skazał siebie na ciężkie roboty dziennikarskie. Ze starszej gwordji jest jeszcze Napieralski, z młodszej awanturują się i wykłócają Kozak, Olejniczak, Świetlik, Stefanowicz, z Warszawy już bardzo dawno wyemigrowani Ćwikiel, Majewski (ilustrator i karykaturzysta) Lessel, i Z. Morawski (prof. Nałęcz) wieloletni korespondent Pata.

Z tego całego polskiego światka dziennikarskiego po ośmiu miastach porozsypywanego, a raczej stacjonowanego, zasługuje niespodziewanie dlań na specjalne raz wyróżnienie (na laurkę), jeden taki cichy sobie pracownik w Winnicy Pańskiej Leon T. Walkowicz. Dziennikarz starszej daty dziś już nawet wcofał się z agony a został prezesem Związku Oświaty i Obrony Kresów Polskich, którego jest założycielem, jak też był organizatorem i komendantem Związku Weteranów Amerykańskich polskiego pochodzenia.

Nie wiemy tu nawet jakich tam kolega Leon Walkowicz jest „orjentacji" orjentalnych czy okcydentalnych i na jakiej platformie jechał i czy ma nad biurkiem portret Hallera czy też... Wilsona lub Kościuszki. W dany przypadku jest to stuprocentowo obojętne. Czy taki czy owaki w każdym razie ten człowiek, na jakieś ładne odznaczenie polskie zasłużył i to znacznie więcej niż takie tam różne gryzipióry ze „sanałek", które lata całe wysługiwały się i to lokajom lokaji.

Cóż takiego znowu zrobił ten pański Walkowicz? Czem się odznaczył i zasłużył. Oto tem się zasłużył, że się zadłużył. A zadłużył się, bo całe życie zbierał. Pieniądze zbierał? Nie. Nie pieniądze, ale pamiątki a relikwie, drobiazgi, drobnostki, różne różności i bric - a - braci, a z tego całą kolekcje, jakby drugi Rapperswyl wyzbierał. Za uciułane dziennikarskie wdowie grosze obce kupował, wypraszał, wynaszał i z tego całe Muzeum stworzył: Księgozbiór, monety stare, obrazy, autografy, fotografie.

Chicago III. N. Fairfield Avenue.

Autograf Woodrowa Wilsona w sprawie niepodległości Polski.

Fotografie z podpisami króla Belgów, Focha, Joffra, Petaine'a, Poincarego, Doumergue'a, Brianda, Pershinga, Edinsona, Kelloga, Hoovera, Coolidge'a, Davesa, Masaryka, Dmowskiego, Paderewskiego, Benesza, Hallera, Brianda, Eckenera, Loyd George'a, Horthyego.

Listy Kasprowicza, Konopnickiej, Wierzyńskiego. Pamiątki Idjańskie, z wojny amerykańskiej niepodległościowej, niemieckie i francuskie z wojny ostatniej, stara broń, pamiątkowe szrapnele, rzeźby, ułamki, odłamki, szkła, porcelana, pistolety, medale pamiątkowe... Nie tego multum ani nie multa tylko p r e t u i n a f f e c t i o n i s, ale bądźcobądź kolekcja i to zbierana na takiej pustyni kulturalnej, w mieście tak nietradycjonalistycznem niepamiątkowem, jak... Chicago (Illinois) miasto świniarzy i gangsterów.

Dostał niedawno zasłużone polskie odznaczenie Mieczysław Heiman dziennikarz i historyk skromny Polonji amerykańskiej, to godziłoby się jakiemś czemś ładnem obdarzyć i kolekcjonistę L. Walkowicza. No, a skoro niżej podpisany popiera to chyba już niema żadnej wątpliwości. Chicago II. N. Fairfreld Avenue. Thank You Excellency Mister Patek.

To jest Walkowicz. Ale tam w tytule był jeszcze ktoś na W na... Wal. I to kobieta! Jest takich nawet dwie! I to obie rozwódki.

Jedna jest Hanna Walska, Gamara Walska ongi śliczna, ongi śpiewaczka dwa lata temu trzeci raz za Mac Cormickiem. Ta Poleczka odznaczyła się ostatnio tem, że powróciwszy z Paryża do Chicago wprost z kolei zaszła do pewnej redakcji amerykańskiej, która ostatnio pierwsza zamieściła wiadomość o jej trzecim rozwodzie i to z tym Cormiciem, Hankę Walską to zirytowało i reporterkę, która to zredagowała miss Graze Williams, cantatrica zboksowała aż do krwi. Panna Williams skarży Walską o miljon dolarów. Więc tedy oczywiście nie o nią nam chodzi, którą wciąż tyle skandalów wyczynia, że już o niej dwie powieści i jedną sztukę napisali...

Nie! Tu mamy na myśli rdzenną Amerykankę, która atoli wyszła zamąż za Polaka. A jest to sympatyczna panna Walker z Chicago, córka bardzo a bardzo dolarowego domu, którą sześć, nie osiem lat temu gościliśmy w Warszawie, jako słabo jeszcze po polsku mówiącą, a malarstwem, i to stalugowatem, miło się zabawiającą, małżonkę miodowo-miesięczną pewnego słynnego, przeraźliwie genjalnego, a serjo utalentowanego mistrza, bojownika, ikonochlastę, rewolucjonistę, żeniącego meksykanizm z lechickością. Tymczasem miła pani Szukalska z małżonkiem swym się rozeszła. Córeczce dała imię Halinka. Nie było to pożycie małżeńskie idyllą Filemona i Baucis, gdyż często i dość pono ciężkie, masywne spiże i marmury kute przeszywały powietrze w mistrza nietyle pracowni, co laboratorjum. Rozstano się też wśród srogich błyskawic i grzmotów. Pomimo tego i pomimo Szukalszczyków groźnej gromady, księżniczka dolarowa z Chicago (Illinois) nietylko nie ma żalu do nikogo, ale właśnie i wprost przeciwnie, dopiero wtedy biegle i płynnie nauczyła się po polsku, Halinkę z polska chowa i sztuce polskiej patronuje.

Otóż zasadniczo rzecz biorąc, te, co z Nami Genjuszami przeżywają część ziemskiej wędrówki doczesnej, te zasadniczo już zasługują (automatycznie!) na wszystkie najwyższe odznaczenia znacznie przed wniebowzięciem.

Pani Walker-Szukalska zasię, że z rodakami swego męża i z chicagoską Polonją nadal w harmonji żyje, przeto zważywszy wszystkie okoliczności i łagodzące i obciążające, na Polonię Restitutę całkowicie zasłużyła. No a skoro niżej podpisany popiera, to chyba niema już żadnej wątpliwości. Chicago IV. Seneca-Square 17. III.

Thank You Excellency Mister Patek!

Your faitfully
A. N. m. p.

Marja L. Krüger

Kres świętości standartowej

Sztuka współczesna, przy ciągłem poszukiwaniu nowych form, nowych rozwiązań, przywraca sztuce cały szereg dziedzin, do niedawna zaniedbanych, zapomnianych, lekceważonych. Odrodziło się meblarstwo, przywrócono do godności sztuki ongi wspaniałe tkactwo, wyświetniło się niebylejak drzeworytnictwo, odżyła wielka sztuka ceramiczna. I dziś, kiedy każde z rzemiosł jawi się jako sztuka rediviva — to najważniejsze, to, które było kolebką całej sztuki, które zrodziło Wielkie Odrodzenie — malarstwo kościelne, sztuka religijna — nie może doczekać się swego renesansu.

W Polsce, po Wicie Stwoszu, sztukę religijną, kościelną podjęło trzech mistrzów — Matejko, Wyspiański i Mehoffer. Była to wielka, potężna sztuka, która wkroczyła do kościołów. Nie tylko w kraju, ale i wyszła poza jego granice. Tworzyli i inni. Niektórzy nic właśnie innego, jak tylko dzieła o treści religijnej. Świętych. Madonny. Dobre rzeczy lub ckliwo zakłamane, jak Stachiewicz. Tworzą i dziś. Roguski, Vlastimil Hofman, Trzcińska - Kamińska — znakomici artyści.

Ale to nie przedostaje się do kościołów, a tem samem do ogółu, do mas, tak jak przeniknęła wyspiańszczyzna. Obecnie, naogół nie projektują witraży artyści, nie spotyka się w nowych kościołach rzeźb ani nawet odlewów z t. zw. poziomem. Stoją banalne, nienatchnione, tuzinowe, standaryzowane posągi, unoszą się pod sklepieniami lub przy ołtarzach pretensjonalne, pozłociste lub biało-gipsowe aniołki.

Kopje tych figurek brzydkich, przeraźliwie pospolitych, dalekich od natchnionego obrazu boskiego, stoją w mieszkaniach. Na komodach, na półeczkach w otoczeniu papierowych kwiatów. Obok figurek — obrazki. Święte obrazki. Czasem mniej lub więcej udana kopja obrazu słynącego cudami — czasem rażąca, ordynarna litografja. Profanujący świętość oleodruk. Święte z „karbowanemi" włosami, przyodziane w „bordowe" suknie, ukazują bezmyślne twarze. O Boże — więc to jest święty obrazek? Albo i ten. „Na pamiątkę Komunji". Z nieładnym aniołkiem lub malowanką, która ma wyobrażać Chrystusa. Pełen brzydkiej afektacji. Okropność. Taka pamiątka Pięknego dnia? „Pamiątka" drukowana w Lipsku, przez drukarnię niekoniecznie katolicką a nawet i niechrześcijańską. Drukowana tak mniejwięcej, jak perkaliki dla murzynów.

To wszystko, ten cały „przemysł religijny", dociera na wieś lub do miasta, tam, gdzie święty obrazek lub figurynka, to jedyne nieraz w życiu zetknięcie się ze sztuką.

A stykają się z jej zaprzeczeniem. Z brzydkim wizerunkiem Boga. Z tandetą ordynarną i bezkarną, która zapanowała w zakresie t. zw. dewocjonalji.

Jedyną drogą do zlikwidowania tego typu „świętości" jest inwazja prawdziwej sztuki na rynek dewocjonalny. Sztuki pełnowartościowej i zrozumiałej zarazem, bliskiej, przystępnej. Może opartej na motywach ludowych? Przecież Wyspiański to też — ludowość. Zresztą jest to jedna z najciekawszych i najwdzięczniejszych możliwości. Weźmy choćby takie drzeworyty ludowe, wydawane ostatnio przez jedną z firm księgarskich. Poczynając od tych starszych, kiedy znano tylko białą kreskę i nie potrafiono odgadnąć tajemnicy odwróconego pisma, aż do tych późniejszych. Naprzykład taki z 1825 r. Siedzi sobie „Jeruzolemsky Frasowliwy" z nogą, opartą o trupią czaszkę. Lub inny. Taki z „Okiem Opatrzności" na obłoku. Spod obłoka ręce Boże litościwe dają chleb ludziom i ptakom.

To drzeworyty ludowe. A przecież jakże inne ciekawe ujęcie można znaleść i poza ludowością!

Pierwszy i najważniejszy krok w kierunku zgrupowania twórczości religijnej uczyniła, mająca już za sobą wielką misję kulturalną Ruchoma Wystawa Sztuki, organizując Wystawę Sztuki Religijnej i Kościelnej, której otwarcie nastąpi w dn. 27 b. m. w Częstochowie. Zaproszeni przedstawiciele plastyki polskiej nadesłali wielką ilość prac. Obok malarstwa stalugowego, reprezentowana jest bogato grafika, projekty obrazków witraże, ceramika, rzeźba, malarstwo ścienne, projekty architektoniczne. Okazało się jak wielkie są możliwości i jak wielu artystów pracuje w tym kierunku.

Jury Wystawy, w którego skład wchodzili: prof. Pruszkowski, prof. Szyszko - Bohusz, prof. Breyer, Ludomir Slendziński, Henryk Jackowski, prezes Zw. Plastyków w Poznaniu, ks. dr. Z. Obertyński, dr. J. Sienkiewcz, Podoski Janusz, arch. Lech Niemojewski, arch. St. Brukalski, Józef Below i Eugenjusz Arct. — Kwalifikując przyjęcie prac było bardzo surowe. Na Wystawę poszły rzeczy najlepsze. Jeśli bowiem zwalczać dotychczasowy niski poziom dewocjonaljów, produkowanych masowo — to przeciwstawiając najwyższy poziom artyzmu, prawdziwą sztukę. Bez kompromisów.

Ten trud walki z brzydotą i tandetą, z zagranicznemi „produkcjami" tak nic nie mającemi wspólnego ani z wzniosłością religijną, ani z właściwem polskiej psychice tkliwem ustosunkowaniem się do świętości — ten trud podjęła Wystawa Sztuki Religijnej i Kościelnej w Częstochowie, gromadząc wszystko co w zakresie tej sztuki stworzyli artyści polscy doby obecnej.



Vlastimil Hoffman — Madonna



Wl. Roguski — Madonna

Zdzisław Broncel

Moje, cudze i nasze

Dwie niedawno wydane u nas powieści sowieckie — „Zorany ugór“ M. Szołochowa i „Czasie, naprzód!“ W. Katajewa *) ciekawe są nie przez swą stronę artystyczną, ale przez związek treści z jednem z najważniejszych zagadnień, tworzących całokształt stosunku człowieka do życia. Obie książki są powieściami o pracy. Obrazują sowiecką walkę o zastąpienie samodzielnej pracy jednostek zbiorową pracą zorganizowaną, której sprężyną jest albo jakaś idea, albo ambicja, albo interes gromady, a nie tradycyjny interes osobistego zysku. Stosunek do pracy układa się tu stopniami. Najniżej — w tej sowieckiej hierarchji — stoi chłop, zamożny rolnik, chciwy ziemi i bogactwa, dalej idzie kozak gospodarujący na niewielkiej działce, który rozumie, że skolektywizowana wieś będzie mogła prowadzić lepszą, intensywniejszą uprawę, następne miejsce należy się robotnikowi z Magnitogorska, pracującemu dla rekordu, dla zdobycia sławy największej wydajności pracy, a szczytowy punkt — to Nagulnow i Dawydow, członkowie Kompartji, działacze rewolucyjni, u których pragnienie posiadania ustąpiło przed pragnieniem tworzenia rewolucji światowej. Z każdym następnym szczeblem tej drabiny rośnie zdolność pracy dla wspólnej korzyści, aż wreszcie krąg ludzi objętych tą korzyścią staje się tak wielki, że jest to już praca dla jakiegoś ogólnego celu, dla idei.

I teraz, wobec powieści Szołochowa i Katajewa, stawiamy sobie pytanie, który z tych rodzaji pracy jest najpożyteczniejszy dla społeczeństwa. To znaczy, który najlepiej zespala zalety gospodarcze z zachowaniem twórczego charakteru pracy. Łączy się w tem pytaniu sprawa ekonomiczna ze sprawą psychologiczną, będącą zresztą rdzeniem rzeczy tak dalece, że ustrój komunistyczny możnaby określić, jako oparty na wyłącznie ekonomicznym, — idźmy nawet dalej — materjalistycznym poglądzie na pracę, a ustrój własności, jako ustrój zrozumienia duchowych wartości pracy.

Obecna technika przystosowana jest do fabrycznej, masowej produkcji. Nie można upraszczać zagadnienia bezrobocia, sprowadzając jego przyczyny do mechanizacji pracy; przy uspołecznieniu warsztatów wytwórczych i sprawiedliwym rozdziale dochodu społecznego, można sobie wyobrazić ustrój gospodarczy usuwający bezrobocie i równoważący wpływy mechanizacji skracaniem czasu pracy. W tym ustroju praca będzie mieć następujące cechy: wzrost wydajności oparty na zachowaniu kierunku rozwojowego współczesnej techniki, po drugie — kolektywny lub najemny charakter pracy, po trzecie — skracanie okresu pracy i wzrost czasu, jakim człowiek może swobodnie rozporządzać przy równoczesnej, coraz dalej postępującej bezduszności samego zajęcia. W ostatnim punkcie tkwi zaleta i wada systemu. Zmniejszenie ilości pracy obowiązkowej sprzyja swobodzie duchowej człowieka, ale z drugiej strony, owa bezmyślności, zmechanizowanego zmniejszona ilość godzin może stać się istną katorgą, wskutek zajęcia pozbawionego wszelkiego światła samodzielności i twórczości.

W to właśnie bije teorja ustroju opartego na pracy i własności indywidualnej i małym warsztacie. Przy urzeczywistnieniu tego ustroju konieczność zmiany form techniki, trudność przystosowanie się do indywidualnego warsztatu techniki służącej dotąd wielkim przedsiębiorstwom wywoła najprawdopodobniej zwiększenie czasu pracy, potrzebnej dla zaspokojenia zasadniczych potrzeb społeczeństwa. Natomiast, w zysku otrzymujemy ścisłe związanie pracy z ambicją pracownika, nadanie zatrudnieniom charakteru twórczego i podniesienie godności pracującego przez obdarzenie go odpowiedzialnością za dzieło własnych rąk, własnego warsztatu firmowanego jego nazwiskiem, a więc jego honorem.

Sowiety wybrały pierwszą drogę — masowej, zbiorowej produkcji. Usuwając zaś, ile możności, własność prywatną, niszczą tem samem ostoję poczucia twórczego charakteru pracy, bo jeśli już mamy pracę zmechanizowaną, wykonywaną w obcym warsztacie, to jeszcze swoboda rozporządzania zarobkiem może w pewnej mierze zachować dla nas treść pracy, choć trochę wyższą ponad materjalistyczny sens utrzymania się przy życiu. Jeśli, pracując, nie czuję, że tworzę, to przynajmniej mam swobodę tworzenia czegoś, choćby wnętrza swego domu, dzięki zarobionym pieniądzom. Jeśli zaś zamiast pieniędzy otrzymuję standartyzowany towar, to wówczas praca jest już dokładnie wyprana z cech indywidualnych. Jest jarzmem, pracą bez radości.

Pozostaje jedno zastrzeżenie. Wewnętrzny sens i radość można pracy przywrócić przez związanie z jej wynikiem ambicji pracującego, a nawet i jego wiary. Jeśli pracownik uwierzy, że na swym drobnym odcinku spełnia cząstkę wielkiej roboty, zmierzającej do celu, którego gorąco pragnie, praca znów będzie dla niego *życiem*, a nie zmechanizowaną *karykaturą życia*.

W „Zoranym ugorze“ i w „Czasie, naprzód“! obserwujemy różne formy sowieckiej pracy i własności. Powieści mają prawie napewno cele propagandowe i nie można ich traktować, jako reportażowego dokumentu, ale przynajmniej są świadectwem, jak wygląda zagadnienie pracy, opisane przez jej sowieckich wyznawców. W tych powieściach możemy szukać obrazu pracy wywłaszczonej z indywidualizmu i pracy wyidealizowanej celem społecznym (piatiletka, rewolucja światowa), pracy w środowisku rolniczem i fabrycznem.

Akcję „Zoranego ugoru“ stanowi przeprowadzanie kolektywizacji w nędznym kozackim chutorze nad Donem. Do Grzmiącej Doliny przysłano Dawydowa, robotnika, delegata partji, z zadaniem osiągnięcia 100 procent kolektywizacji, stworzenia kołchozu, wykonania planu siewnego i zniszczenia kułaka. Podstawą kołchozu ma być wywłaszczenie bogatych chłopów, które kolektywowi dostarczy ziemi, narzędzi, ziarna do siewu i bydła. Oczywiście niema co tu szukać jakiejś sprawiedliwości społecznej, jest to prosty rewolucyjny akt gwałtu i póki spada on na starych właścicieli ziemi, to ta reforma rolna bez odszkodowania wcale nas nie dziwi na tle sowieckich stosunków.

Jednak odrazu na początku spotykamy paradoksalną sytuację. Pozostanie ona dla nas pewnym symbolem — ilekroć przeczytamy o niepowodzeniach nowo założonego kołchozu, przypomni się nam niejaki Tyt Borodin.

Na zebraniu organizacyjnem kołchozu, uchwalono zabrać wszystko kułakom. Gdy zaczęto ustalać listę „wrogów klasowych“ nazwisko Borodina wywołało wątpliwości. Borodin w 18-ym roku wstąpił, jako ochotnik, do czerwonej gwardji, był ranny i otrzymał rewolucyjną odznakę. I — jak mówił na zebraniu, człowiek jaczejki, fanatyk komunizmu, Nagulnow — po powrocie do domu „zębami jak kundel ścierwa uczepił się gospodarki... I zaczął zbogacać się, nie bacząc na nasze przestrogi. Pracował we dnie i w nocy, dziko cały obrósł, zimą i latem jedną parę postrzępionych portek nosił... Dochował się trzech par wołów i gdery w pachwinie od ciągłego podnoszenia różnych ciężarów i jeszcze mu tego było mało! Zaczął najmować robotników, po dwóch, po trzech.“ Tego właśnie Borodina wyzuwają z tego czego się dorobił własną pracą. Nie dojadał, harował i obecnie jego winą jest tylko to, że pracował na swojem, podczas gdy inni, nie pracowali. Borodin miał w sobie instynkt posiadania — rozumiał, co to jest „moja“ ziemia i może być uważany za wzorowego pracownika na własnym warsztacie pracy. Wyzuto go z ziemi.

Lecz oto utworzono kołchoz. Pasja pracy „na swojem, na własnem“ ma zmienić się w pasję pracy „na naszem“. Powinien ten zapał pracy zrodzić się, bo przecież właściwie interes osobisty każdego członka kołchozu istnieje nadal, jako cząstka ogólnego interesu kołchozu. Ale zamiast poczucia „nasze“ zjawia się „nie moje, cudze“. Uchwalono oddawać bydło do gromadzkiej obory, na własność kołchozu. Kozacy — mówiąc po sowiecku — są uświadomieni, że kołchoz, dzięki rządowym kredytom i zabraniu mienia kułaków, może polepszyć ich byt; starczyło jednak, że bydło ma przejść do innej obory, by stało się cudze, jakby stracone, zmarnowane. Ma się więc zmarnować, ma się stracić te woły, z takim trudem zdobywane i żywione? Toż lepiej je zjeść!

Chutor w Grzmiącej Dolinie ogarnęła gorączka bicia bydła. W parę dni wyniszczono pół inwentarza. Źle się dzieje w stajniach, dwóch pracuje, reszta stoi pod płotem i kurzy papierosy, robota w polu także idzie kulawo. Kołchozowi daleko do tej intensywności, jaka była w robocie Tyta Borodina. Wszystkie perypetje, jakie przechodzi proces kolektywizacji w powieści Szołochowa prowadzą do wyraźnego wniosku — własność gromadzka jest czemś obcem, nie ma tej siły, co własność indywidualna, ani tej, co poświęcenie swej własności dla wielkiego, ogólnego dobra.

W chwili, gdy przychodzi próba wewnętrznego przystosowania się członków kołchozu do kolektywizacji, wybucha awantura. Kołchoz — to tylko odcinek wielkiego planu, mała komórka kołchoza-gigantu, jakim mają być całe rolnicze Sowiety. Kołchozowi sąsiedniemu zabrakło ziarna na siew i kołchoz z Grzmiącej Doliny ma go użyczyć ze swych rezerw. O ile można było jeszcze skolektywizować Grzmiącą, to kołchoz sąsiedni jest już obcym światem, wrogim światem. Nie damy ziarna! — tu się odzywa gromadzka własność, odzywa w stronie wyłącznie negatywnej, w „nie daj innemu“. Tylko w ten sposób jest to „nasze“, natomiast wewnątrz kołchozu dla każdego wszystko już jest „cudze“. Dawydow ciągle użerać się musi z kozakami i uczyć ich poszanowania dobra gromady.

Jeden z najlepszych członków kołchozu, Kondrat Majdannikow, wstąpił do kolektywu pod wpływem argumentu rozumowego — kołchoz będzie mógł sprowadzić traktor—uczuciowe związanie z kołchozem znajdujemy tylko w jaczejce, u Nagulnowa, u Dawydowa, Razmiotnowa. To są fanatycy rewolucji. Ci wierzą, że robotą w Grzmiącej zbliżają przebudowę świata. Dla tych istotą rzeczy jest nie własność, ale służba. Są oni w służbie partji, w służbie rewolucji, wierzą w ideę komunistyczną — czy będą pracować na własnem, czy w kolektywie, pracować będą jednakowo, bo sensem ich pracy jest nie zysk, ale służba społeczna. Dawydow i jego towarzysze są właściwie rodem już nie z książki Szołochowa, ale z powieści Katajewa „Czasie, naprzód!“

Tu panują inne stosunki. Środowisko robotnicze. W Magnitogorsku, w fabryce betonu, patrzymy na „socjalistyczne współzawodnictwo“. Brygada robotników w Charkowie ustanowiła rekord pracy — 306 zapraw betonowych w ciągu jednej zmiany roboczej. 6 odcinek Magnitogorska chce pobić Charków. Rozpoczynają szaloną pracę, ryzykują zdrowie, a nawet życie, bo nietrudno w tem piekle o wypadek, byle tylko dla swojej brygady zdobyć sławę rekordu.

Praca 6-go odcinka ma swój sens wewnętrzny. Jest tu ambicja, dążenie do pierwszego miejsca w socjalistycznym wyścigu piatiletki, słowem, jest pierwiastek, który uczuciowo związuje pracownika z jego robotą. Gdy odłoży łopatę, będzie mógł powiedzieć „to moje ręce wypracowały ten rekord“. Jest robota nie dla najemniczego zarobku, ale dla sławy i rewolucji, dla których warto poświęcić siły, czas, odpoczynek, swobodę.

Jeszcze silniejszy związek z pracą jest u sekretarza jaczejki w Grzmiącej u Nagulnowa. Nagulnow, gdy kułacy odmawiają złożenia ziarna siewnego, grozi im rewolwerem, popełnia polityczne „lewe odchylenie“, naraża się na usunięcie z partji, ponieważ za wszelką cenę chce spełnić obowiązek i wykonać swoje zadanie w stu procentach. Nagulnow służy partji komunistycznej nawet i wtedy, gdy wie, że Kompartja zapłaci mu za gorliwość naganą i karą.

Cztery typy pracy — Borodin, kołchoz, robotnicy z Magnitogorska, Nagulnow. Zdecydowanie ujemny obraz daje tylko praca kołchozu. I zdaje się, że tajemnica tkwi w braku poczucia własności, na którem musi się praca opierać. Borodin — ma ziemię, swój teren pracy, robotnicy z 6-go odcinka mają swój rekord, bogacą swoją sławę. Nagulnow ma komunistyczną wiarę, swoją społeczność, swoją rewolucję. Dla tych wszsytkich ludzi praca ma treść, w pracy wyraża się ich siła życia. Dla przeciętnego kolektywisty z kołchozu w Grzmiącej jest to tylko robota na cudzem, tak, jakby robota najemna. Tu praca nie ma treści, nie ma wartości wewnętrznej i co zatem idzie — wykonywana jest z niechęcią i licho. Jest jarzmem, nie błogosławieństwem.

Katajew obrazowi triumfu brygady pracowniczej przeciwstawia klęskę amerykańskiego speca, najemnika sowieckiego rządu, który za cenę morderczej roboty, wyrzeczeń, zbierał kapitał. Odmawiał sobie wszystkiego i posyłał oszczędności do amerykańskiego banku. W tej samej gazecie, w jakiej była depesza o rekordzie Charkowa, znalazła się wiadomość o bankructwie banku. To zestawienie jest wyraźne, tendencyjne. Katajew pokazuje, jak równocześnie przychodzi wiadomość ze świata rewolucji i ze świata kapitału. Depesza o charkowskim rekordzie wywołuje istną gorączkę pracy, depesza z Ameryki ruinę i śmierć człowieka.

W wyroku zguby na Amerykanina jesteśmy z Katajewem solidarni. Spec reprezentuje w powieści ustrój egoizmu i pracę opartą wyłącznie na egoizmie. Własność niezwiązaną niczem z żywym organizmem społeczeństwa, własność martwą, wynaturzoną, ujętą jako broń w walce z innymi ludźmi.

Ale z drugiej strony czynnik związania człowieka z pracą, jaki widzimy w dziejach rekordu brygady robotniczej z powieści Katajewa, jest jednostronny. Ustrój sowiecki nie łączy pracy na własnym warsztacie i pracy w służbie idei. A dopiero ta praca może dać pełne zadowolenie twórcze, zaspokoić i indywidualizm jednostki i jej instynkt społeczny. Ta praca jest równocześnie i samodzielną i zespoloną ze społeczeństwem.

*) MICHAŁ SZOŁOCHOW: „Zorany ugór. Cz. I. str. 248, cz. II. str. 238. Przekład H. Pilichowskiej. Warszawa, 1934. Rój.
W. KATAJEW: Czasie, naprzód! Str. 296. Przekład Dr. J. P. Zajączkowskiego. Warszawa, 1934. Tow. wyd. „Rój“.

Stefan Balicki

Slepcy

Nowela

O godzinie siódmej, nie śpiesząc się, zamykał swój sklep i szedł do Guderskiego na piwo. Można powiedzieć, że Wrembel nie przebywał tej drogi. Niosła go sama. Tak zwykła i zawsze jednakowa. Obejmował ją spojrzeniem swych oczu rozświetlonych od lat nieustannem oczekiwaniem, wspartem mocną nadzieją. Oto gołębie robotnika Smarza, zrywające się z nierównych kamieni drogi za zastrzaśnięciem drzwi. Mostek drewniany wsłuchujący się w szmer wody. Mostek dudni pod stopami a woda bulgocze cicho, przelewając się ze stawu. Potem dwie, może trzy zakonnice, które odniosły właśnie komunikanty i wracają szeleszcząc sukniami. Milczący, zamknięty park rezydencji arcybiskupiej i na skraju drogi stugębny wrzask gromady dzieci.

Wrembel przystanął, jak zwykle pod olbrzymiemi jesionami. O tej godzinie zawsze słyszał w pogodny wieczór sapanie sów ukrytych w czarnym gąszczu drzew. Wrembel nie uśmiechał się prawie nigdy, a jednak, gdy słyszał to nadąsane, donośne fukanie, wargi jego nieznacznie się rozchylały. — szsz..y... szsz..y... —

Na drodze, słysząc wrzask bobrujących w stawie dzieci, przyśpieszał kroku, wymachując swemi długiemi, niezwykle chudemi ramionami. Był zupełnie sam na świecie a niewielkie te stworzenia obrzucały go wyzwiskami a czasem kamieniami. Nie rozumiał tego. Nigdy żadnego z tych dzieci nie uderzył, nie krzyczał na nie.

— Ćma ćma lezie!—wrzasnęły na jego widok.

Czerwone jego oczy nie znosiły słońca. Nakładał więc zielone okulary co niepokojąco wyglądało na tle smutnej bezkrwistej twarzy. Przysunął się do muru i szybko bezgłośnie szedł długiemi krokami. Jego delikatne czułe palce zegarmistrza wykonywały cały szereg niezrozumiałych, gwałtownych poruszeń. Oto już kwaśny zapach piwiarni, wiejący miłym mrokiem. Trzasnęły znajomym od lat wielu trzaskiem, rozchybotane drzwi.

— Jasne piwo! — zawołał wesoło Wrembel.

Dziwny akcent tej wesołości unieruchomił kilku bywalców piwiarni. Przerwali rozmowę i spojrzeli jednocześnie na chuderlaka w zielonych okularach.

— A poco pan nałożył okulary? Słońce dawno już zaszło.

To przemówił przemądry patrjarcha i poeta miasteczkowy, malarz Pulc.

— Słońce już zaszło? Naturalnie, że zaszło. Teraz jest siódma godzina.

— Siódma — mruknął Guderski — już ósma. Musiał się pan zagapić na coś po drodze.

Wrembel nic nie odpowiedział. Dopiero po dłuższej chwili całkiem niedorzecznie powtórzył.

— Musiałem się na coś zagapić po drodze.

Późniejsze niż zwykle przyjście Wrembla nie było im na rękę. Pokrzyżowało im pewne plany, które już tak obgadali, że stały się śliskie i nieuchwytne. Powinien był przyjść odrazu o siódmej, byłoby znacznie mniej ambarasu.

Palce Wrembla latały szybko po stole. Przybiegały u obu dłoni do siebie i porozumiewały się. Uciekały z gniewem od siebie, zeszły się znowu i nagle skoczyły sobie na szyję z niemym płaczem. Wrembel splótł obie dłonie twardo, usiłując je ucisnąć. Nic to. Wszystko mija. Świat boży jest piękny, ale tyle oczu zamyka się codzień na wieki, by nigdy go już nie ujrzeć.

— Słyszę! — zawołał nagle — bije ósma na ratuszu. Widzi pan, dopiero teraz jest ósma. Ja się na czasie znam.

— Któżby miał lepiej znać się na czasie od pana — przyznał listonosz Krobiak.

— Ja się na czasie znam — powtórzył śpiesznie Wrembel — ale szedłem bardzo powoli. Najpierw mi wyskoczyły spod samych nóg gołębie. Śmiałe są gołębie Smarza. Zwłaszcza jeden bardzo mi się podobał. Bronzowy ze srebrnym czubkiem. Jak poleciał, to zabłyszczał w słońcu, aż raziło. Potem pogadałem sobie ze siostrami ze szpitala Elżbietanek. Bardzo lubię te ich bielusieńkie nakrycia głowy. Ja już taki dziwak jestem. A te trzy jesiony, gdzie sapią sowy, są dopiero zielone. Przystrojone, że aż...

— Jeszcze przez zielone okulary — zawołał Guderski.

Towarzystwo zaśmiało się. Ale potem opamiętali się, że nie należy się śmiać ze słabych oczu Wrembla i ucichli. Milczący wiecznie, głupawy nieco syn Guderskiego, dziesięcioletni Józef, poszedł do stołu Wrembla oparł się gołemi łokciami i pociągnął głośno nosem. Wrembel zaśmiał się.

— Słychać już, jak ci wąsy rosną.

Zebrani głuchym pomrukiem zaaprobowali żart Wrembla. Sprawa zaczyna się nieznośnie przedłużać. Ileż to było chodzenia przez parę dni, ileż narad zanim się zdobyli na postanowienie, a oto teraz zabrakło im odwagi. Miasteczko było zamożne, bogate prawie, biednych w niem nie było. Ten jedynie w miasteczku nieszczęśliwy człowiek interesował ich swą niezwykłością, którą od lat szczycił się, sycił się blagier i fantasta malarz Pulc.

Wrembel już dopijał swoje piwo. Zbliżał się czas ostatecznej decyzji, a Pulc ciągle gładził szpakowatą brodę i nie umiał zacząć. Pocóż Wrembel uzbroił się w te dzikie okulary. Nigdy w nich do oberży nie przychodził. Wygląda, jak nie ten człowiek. Przytem jego zachowanie się zdradza, że przejrzał ich zamiary.

— Tak — zamruczał mimowolnie Pulc.

Przycichli. Widocznie chciał zacząć. Guderski, wycierający szklankę, zatrzymał w ruchu rękę i postawił ją jaknajciszej na półce.

— Tak, panie Wrembel. Rozmaite wypadki zdarzają się na świecie.

Wrembel wstał.

— Jakie wypadki?

— Mówię tu o tem, że tamtego tygodnia spadł murarz i złamał obie nogi.

Wrembel machnął ręką i usiadł.

— Najpierw nie obie nogi tylko jedną. A po drugie jest już w szpitalu i noga zaczyna mu się zrastać. Tak, upadł przy budowie willi doktora Zakrzewskiego. Pięknie. Ale jak moja córka wróci, będziemy mieć jeszcze ładniejszą willę.

— Czysty teatr — szepnął listonosz Krobiak i zażądał głośno jeszcze jednego piwa.

A Wrembel podniósł naraz głowę do góry z majakiem uśmiechu na bezkrwistej twarzy, począł pleść o swojej córce. Słuchali tego w milczeniu i spokoju, jak przyjemnego szumu wody. Córka bardzo go kocha. Wyrzucił ją kiedyś z domu i tego mu nawet Bóg nie przebaczy. Ale wszystko ma swój kres. Oto raz na miesiąc dostaje od niej listy. Pięknie pisane. Wykształciła się tam daleko w Ameryce i umie nadzwyczajnie pisać.

W tej chwili Pulc uśmiechnął się z pychą i mrugnął porozumiewawczo do towarzyszy. Ale rzecz dziwna, nikt mu nie odpowiedział. Twarze wszystkich były skamieniałe i posępne. Józek siedział bez ruchu na ławie i otworzywszy usta wpatrywał się ze strachem we Wrembla. Czerwony gruby Guberski z zakasanemi rękawami sterczał za ladą niby dobroduszny operetkowy kat.

— Córka moja wróci lada dzień i zacznie się inne życie. Powiedzcie, czy wierzycie w to, że jutro słońce zejdzie? Nie, nie wierzycie, tylko wiecie, że tak będzie. Taksamo ja wiem, że ona przyjedzie. Za parę dni, może za miesiąc. Przyjedzie mały Minta z batem w ręce, głupi Minta z baranio ostrzyżonym łbem i powie — zgadnijno pan kogo przywiozłem. — Cóż ja mam zgadywać. Nie wiem. — Ale spróbuj pan tylko, może się uda zgadnąć. Ktoś, kogoby pan sobie bardzo życzył.

Wrembel urwał i powtórzył cicho.

— Ktoś, kogoby pan sobie bardzo życzył... bardzo życzył...

Dłonie jego rozplątały się a palce spadły na stół i leżały cicho. Spytał głucho i bezbarwnie, z trwogą.

Józef Marjan Chudek

Dlaczego kłos da się objąć dłonią...

Legenda podlaska

PANI AGNIESZCE SOKOŁOWSKIEJ

Niby to nieładnie tak na swoją okolicę wyrzekać, ale co prawda, to prawda: na Podlasiu niema za dobrej ziemi, więc i urodzaje nie są takie dobre, jakby tego ludzie chcieli. Kto pracuje a ziemię porządnie wynawozi, gnój wporę wywiezie, albo jeszcze proszkiem posypie, jak to dziś radzą robić, to i ma kłosy podsypnie. Ale niechno się kto poleni, nie dopatrzy, to ani się obejrzy, wyrośnie mu licha słoma z kąkolem, makiem, chabrami, zagon będzie kolorowy jak gałganiarz na podługę z miejskich łatek, zato kłos to po trzy ziarna ma najwyżej. Dawniej to było przysłowie takie, że

szlachcic podlaski
ma laski, piaski, karaski,
sieje tatarkę
i ma żonę Barbarkę.

Teraz szlachty już tu się nie doszuka i lasków to też niema, a piaski, jak były, tak są i nawet jest ich więcej, bo gdzie wycięli las, tam odrazu zrobił się wydmuch piaszczysty. Nacięli tego lasu, to nacięli. Dzisiaj kościółek świętego Stanisława pod Żelechowem to stoi w szczerem polu. Porządnie się człowiek napoci, zanim tak w południe dojdzie do kościółka. Nigdzie ani kropli cienia. Ale starzy ludzie opowiadają, że jak się zjawił tam święty Stanisław, las był ogromny pod sam Żelechów. Nawet na górze nad zdrojem rosły ogromne drzewa. Święty obraz znaleźli właśnie na drzewie.

I karasek teraz niewiele na Podlasiu. Po dworach to jeszcze mają stawy, dbają o narybek, ale gospodarzowi co tam po rybach! Na piątek i na wilję śledź wystarczy. Tam ryba znowu taki smak wielki! Dlatego stawów coraz mniej się robi. Pod Żelechowem był kiedyś ogromny staw dworski, ale jak go przed wojną jeszcze spuścili, tak została z niego tylko rzeczka. Mówi się jeszcze o domach nad stawem, które stoją u wilczyskiej drogi, ale to z przyzwyczajenia. Dzieci też tak mówią, bo się od rodziców uczą, żadne jednak stawu nie pamięta. Nawet tacy, co się teraz żenią już, nie widzieli go w dzieciństwie. A mówią: dom nad stawem.

Piasków to na Podlasiu nigdy nie brakowało. Jak Paniezus z Matką Boską mieszkali na Podlasiu... A było to wtedy, zanim święty Jan Chrzciciel ochrzcił Paniezusa i zanim Paniezus zaczął swoją pracę w Ziemi Świętej. Ewangelja święta powiada, że Paniezus żył wtedy w ukryciu, ale stare opowiadania są, że Paniezus ukrywał się przed żydami właśnie tu na Podlasiu. Otóż widzicie, za czasów Paniezusa to te piaski tak rodziły, że daj Panie Boże dziś chociaż trzecią część tego. Najlepsza pszeniczna ziemia wysypana cal przy calu potasową solą nie da tyle z morga, co za Paniezusa mórg zwyczajnego piasku bez nawozu nawet. Bo wtedy zupełnie nie było słomy, tylko od góry do dołu kłos ogromny, w którym ziarno przy ziarnie było ubite jak kamień przy kamieniu w miejskim bruku. Tyle było słomy od ziemi, co brudu za paznokciem, ale nie teraz, tylko wtedy, a ludzie byli za czasów Paniezusa ogromnie czyści.

Nie było wtedy głodu na Podlasiu. Gospodarze zawsze mieli chleba do nowego, biednym nie żałowali, choć tak prawdę mówiąc, to tych biednych był jeden w piątek po proszonem, albo i nie było. Jak kto się spalił, albo stracił majątek, to mu proboszcz albo któryś bogatszy gospodarz dawał zagon albo i pół, żeby miał na czem zboża zasiać, a jak zasiał, to miał co jeść i dla siebie, i dla rodziny na cały Boży rok Przyjemniej takiemu człowiekowi było jeść swoje własne niż to, co mu daliby ludzie. Zawsze to ludzka łaska może stanąć kołkiem w gardle, jak ktoś niby litościwy zacznie opowiadać sąsiadom, co to biednemu dał w piątek. Najlepiej to jak się ma swoje. Nikt tego nie wymówi i choćby to suchy razowy chleb, smaczniejszy od świeżego z masłem, gdy ktoś go wypomina.

Miło to był opatrzeć na żniwa, jak ludzie zbierali to cudowne zboże. Sam Paniezus wtedy też pracował na polu. Nikt już nie pamięta, które to było pole Paniezusa, ale jak się domyślają, to musiały to być role na Krzyżu pod Żelechowem. Teraz mówią, że Krzyżem nazywają się te role dlatego, że tam stoi krzyż, ale jacy ci ludzie dziwni, że nie pomyślą, dlaczego tam stoi krzyż! Nie można za to dawać głowy, ale krzyż na Krzyżu postawili ludzie pobożni wtedy, kiedy z Ziemi Świętej przyszła wiadomość, że żydzi Paniezusa na krzyżu umęczyli. Żeby to Paniezus został tu na Podlasiu! Napewnoby nie umarł taką straszną śmiercią! Okropnie się ludzie zasmucili wiadomością bolesną i stawiając krzyż, chcieli zostawić pamiątkę w tem miejscu, gdzie Paniezus świętemi swojemi rękami uprawiał podlaską rolę.

Z żęciem to ludzie kłopotu nie mieli. To się wie. A dopiero oczy się cieszyły, gdy się widziało fury wypakowane zbożem, że ledwie do stodoły wjechać mogły. A nieraz to trzeba było nawet zrzucać snopki z wierzchu. Anijak fura nie chciała inaczej wjechać. A co to była za fura! Teraz jedna chuderlawa szkapa galopem ciągnie furę. No bo co wiezie? Słomę tylko, gdzie ziarna trochę u końca! A pomyślcie, co to był za ciężar wtedy, gdy słomy nie, a ziarna od góry do dołu. Nie można się dziwić, że po cztery konie ciągnęły furę. I taka fura to nie mogła obrócić sześć razy na dzień. Snopów tak się nie dało podawać widłami w górę. Były za ciężkie. Jak się przywiozło trzy fury na dzień do stodoły, to było aż za dobrze. A skrzypiały takie fury jak skrzypce, no bo ciężar się wtedy woziło ogromny. A za furami ptaków różnych ciurlutało tysiące. Dziobały ziarna wróble, dziobały kury z kurczętami i Bóg ich tam raczy wiedzieć jakie inne ptaki ,a choć dziobały ledwie się zrobiło szaro do samego wieczora, to na drodze tyle jeszcze było ziarna, że dziś nawet przy siewie tyle się nie rzuca.

Paniezus z Matką Boską pracowali na swojem zarówno ze wszystkimi. Jak się na wschodzie robiło czerwonawe niebo, ptaszki pukały do okna Paniezusa dzióbkami i wtedy Paniezus wstawał. Choć to lato, zimno było jeszcze tak rano i rosa wszędzie mokra, ale Paniezus nie patrzał na to. Boso, w długiej lnianej sukni, którą Matka Boska utkała swemi świętemi rękami, szedł do pracy i pracował, a ludzie mając taki przykład piękny, robili to samo, bo nie chcieli zasmucać Paniezusa.

Dobrze było mieć za sąsiada Paniezusa. Zawsze to człowiek wiedział, jak postępować, żeby Boga nie obrazić. A o obrazę było łatwo. Bo to rzecz wiadoma, jak człowiek ma za dobrze, to choćby był najlepszy, odrazu się psuje. Odrazu mu w głowie łajdactwa. Albo to nie dlatego, że jeden chłop miał za dużo zboża, djabeł nauczył robić wódkę i tyle z tego poszło zła? No bo już nie wiedzieli ludzie, co robić ze zbożem. Zjeść to się nijak nie dało wszystkiego. I świńmi też się spaść nie dało. A znowu niewszyscy widzieli, co robi Paniezus. A Paniezus robił tak, że jak nadeszła zima i śnieg już leżał grubo jak pierzyna, w jednem takiem miejscu na desce sypał codziennie ziarno, żeby te ptaszki wierne, co na zimę na Podlasiu zostały, z głodu nie pozdychały i żeby mogły znowu doczekać zielonej wiosny. Ale to widzieli tylko najbliżsi sąsiedzi Paniezusa, bo tam znowu nie chciało się tak bardzo ludziom chodzić patrzyć, co Paniezus robi. Zawsze to w mróz woleli w domu przy piecu się grzać.

Zato chodził po ludziach Paniezus. Aż podziwienie brało patrzyć. W największy mróz szedł po śniegu boso i w tej samej lnianej sukni co w lecie. Niby prawda, Syn Boży, to nic to, co każdy człowiek, ale musiało być Paniezusowi zimno okropnie, bo jednak miał na ciele gęsią skórkę i znać było, jak drży. A Paniezus chodził, żeby ludzi pouczać, jak żyć mają i co robić, jeśli chcą sobie na niebo zasłużyć. W zimie ludzie mają więcej czasu, to i chętniej takich nauk słuchają. Paniezus też tak robił, żeby ludziom w pracy nie przeszkadzać. A jak kobiety len przędły, to nawet lepiej im robota szła. Bywał Paniezus wszędzie. Dochodził do Stoczka, i pod Okrzeję, i pod Łuków, i koło Siedlec nawet, pod Zbuczyn. Ale nigdzie takich rzeczy nie zobaczył, jak w Zakrzywku. Przychodzi tam Paniezus, wchodzi do jakiejś chałupy, a tam gospodarz już siwy nabiera na szuflę ze skrzyni zboża i buch do rozpalonego pieca chlebowego.

Złapał go Paniezus za rękę:

— Co robisz, synu marnotrawny?

— Palę zboże, bo mi niepotrzebne. Do nowego mi starczy, a reszta poco mi? Odmierzyłem dobrze, ile potrzeba. Na przyszły rok znowu tyle będę miał. I poco? Nikt zboża kupować nie chce, a jak kupuje, to płaci tak marnie. Obejdę ja się bez tych pieniędzy. — I zaczął się gospodarz śmiać, jakby go złe opętało.

Przeczekał chwilę Paniezus, a potem rzekł z boleścią wielką:

— To ja poto wyprosiłem u Ojca mego w niebiesiech łaskę urodzaju dla ziemi podlaskiej, ażebyście wy tak marnowali dary Boże? To tylko poto jest urodzaj, ażebyście mogli więcej zarobić? Oj ludzie, ludzie wyrodni! A czy pomyśleliście, że poto daję urodzaj, żebyście mogli z nadmiaru dać coś tym ptakom niebieskim, które nie sieją, nie orzą, ale są wam pomocą przed robactwem, któreby wyniszczyło wasze pola i sady? A czy pomyśleliście, że może za siódmą górą, za siódmą rzeką są kraje, które mrą z głodu, bo własnego zboża nie mają, a waszego kupić nie mają za co?

A gospodarz wstał, rzucił szuflą o ziemię i ordynarnie zawołał:

— A co mnie to obchodzi? Ja sieję dla siebie, a ptaki i jakieś cygany zza siedmiu gór niech zdechną nawet.

— Zato, że jesteście tacy nieużyci, od dziś zboże wasze będzie bez kłosów, tylko pusta słoma!

— Synu mój! — zawołała Matka Boska, ze snopa, który stał w kącie od Bożego Narodzenia, chwytając jeden kłos — zostaw tyle dla wróbli i kurcząt.

I objęła dłonią górny koniec kłosa.

Od tego czasu niema już na Podlasiu kłosów od góry do ziemi, zboże nie jest jak dawniej takie wysokie jak człowiek, kłos został tylko taki, jak szeroka dłoń ludzka. Matka Boska uprosiła tyle u swego Syna dla ptaków, ale kiedy na Podlasiu zrobił się głód i ludzie zjedli wszystko, co mieli z lat urodzaju, musieli zacząć jeść to zboże, co zostało dla ptaków. Nie było to zboże najlepsze, bo najlepsze ziarna były w środku, ale z biedy musieli zostać przy takiem.

Kara za nieużytość nie skończyła się na tem. Dawniej, żeby mieć ziarno, wystarczyło dobrze potrząsnąć snopem i wszystko doczysta wylecioło, dlatego zwożono do stodoły snopy jeszcze świeże; teraz muszą ludzie walić cepami a walić, no bo jak tu zostawiać ziarno, kiedy i tak go niewiele z kłosa. Że też wtedy ludzie byli tacy głupi! Gdyby nie ich głupota, nie byłoby teraz tyle biedy na świecie.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

Adwentowicz Karol 1899 — 1934. Wydawnictwo zbiorowe pod redakcją **E. ŚWIERCZEWSKIEGO** z 9 ilustracjami. 8°. 80 str. Warszawa 1934. F. Hoesick. Zł. 1.50.

BONCLER T., GURA J., JUNG E., GRZENIEWSKI W.: Jak samemu zbudować kajak żaglowy i jak nim manewrować. Podręcznik dla amatorów sportu wodnego z 2 tabl. rys. 8° 31 str. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.00.

BYKOWSKI Z.: Książka a pedagogika. 8° 8 str. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 0.50.

BYSTROŃ J. S.: Szkoła jako zjawisko społeczne. 8° 119 str. 1934. Książnica Atlas. Zł. 3.00.

DRZEWIECKI HENRYK: Kwaśniacy. Powieść. 8°. 308 str. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.00.

HALICZ CZ.: Ludzie, którzy jeszcze żyją. Nowele. 8° 239 str. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.00.

Historja sztuki — opracowali S. J. Gąsiorowski, M. Gębarowicz, T. Szydłowski, W. Tatarkiewicz, J. Żarnowski, J. Żurakowski. Tom I z 291 ilustr. i 2 mapy. 8° IX 440 str. Lwów 1934. Ossolineum. Zł. 18.00.

JABŁOWSKI K.: Jak zdobywać pracę i stanowisko. 8° 127 str. Lwów 1934. Książnica Atlas. Zł. 3.00.

Jak wybierać radnych miejskich.— Regulamin wyborczy do Rad Miejskich. Rozporządzenie z dnia 30 marca 1934. Wstęp i kalendarz wyborczy opracował **ST. DĄBROWSKI.** 8° 55 str. Warszawa 1934. E. Hoesick. Zł. 1.60.

KLOBERÓWNA ZD.: Kocham i cierpię. Cierpienie w poezji i w poglądach w stulecie urodzin „Pana Tadeusza". 8° 34 str. Stryj 1934. Skł. Księgarnia Nauczycielska. Zł. 1.00.

KLONOWIECKI WIT.: Kontrola wewnętrzna w polskiej administracji rządowej. 8° IX 233 str. Lublin 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 6.00.

KOSSOWSKI JERZY: Rodzina Smuszków. Powieść. 8° 358 str. 358 str. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 6.00.

LEPECKI MIECZYSŁAW, b. kpt. **Sybir bez przekleństw.** Podróż do miejsc zesłania Marszałka Piłsudskiego. 8° 224 str. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.00.

LISSA ZOFJA dr. prof.: **Zarys nauki o muzyce.** 8° 246 str. Lwów 1934. Ossolineum. Zł. 7.00.

ŁUSTEWKA PIOTR: Bezsenne noce. Powieść. 8° 116 str. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.90.

MUSZAŁÓWNA KAZIMIERA: Pod olimpijskim sztandarem. Z rys. 8° 64 str. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.90.

ORZESZKOWA E.: Nad Niemnem. Powieść. Wyd. 5-te. 8° I 198, II 288 str. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. 2 tomy. Zł. 8.00.

ROTH J.: Marsz Radetzky'ego. Przełożył W. Kragen t. II. 8° 212 str. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.00.

SWOBODA H.: Ignacy Daszyński. Życie — praca — walka. Z 3 portretami. 8° 83 str. Warszawa 1934. Księgarnia Robotnicza. Zł. 1.50.

THUGUTT ST.: Spółdzielczość. Zarys ideologji. 8° 191 str. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 5.50.

TOEPLITZ-MROZOWSKA JADWIGA: Moja wyprawa na Pamiry w r. 1929. Tłum. dr. K. Jeżowa. Z 32 rys. 8° 93 str. Lwów 1934. Książnica Atlas. Zł. 2.80.

— Nie przyszedł jaki list od niej? Już półtora miesiąca listu od niej nie miałem. Czy to nie jest dziwne?

Teraz oczy wszystkich skierowały się na Pulca. Zaczynała się jego rola. Ważna, niezmiernie odpowiedzialna chwila. Razem to niby ułożyli, ale przecie od lat Pulc był autorem tej trudnej komedji, poszukiwaczem niestrudzonym silnych wrażeń i rozdawcą współczucia.

— List jest — rzekł odważnie i głośno.

— List? — krzyknął Wrembel — czemuż mi nie dajecie tego listu?

Wyciągnął obie ręce zza stołu nie do nich, ale trochę wyżej, jakby chciał uchwycić coś spadające go ze sufitu.

Pulc z roziskrzonemi oczyma, oblizując z chciwości grubą dolną wargę i szarpiąc brodę, podszedł do Wrembla i sięgnął do kieszeni marynarki. Wpatrywał się z natężeniem we Wrembla. Oto zaraz się tu rozegra wspaniała scena. Wrembel będzie krzyczał wniebogłosy. Co się stanie z jego twarzą, gdy oczy padną na kopertę. Szukał chwilę i nagłym ruchem wydobył dużą kopertę naznaczoną szeroką żałobną obwódką. Rzucił ją na stół.

— Oto list.

Palce Wrembla podbiegły, uchwyciły za kopertę i podniosły ją do zielonych okularów.

— Tak — rzekł, to jest od niej list. To jej pismo.

Nic więcej. Nic więcej nie powiedział. Usiadł, prosząc, żeby tu na miejscu ten list przeczytano.

Pulc, zupełnie ogłupiały, odwrócił się i spojrzał na swych towarzyszy. Wpatrywali się wszyscy w jeden punkt. W zielone kręgi okularów Wrembla.

— Czy pan obejrzał kopertę?— spytał Pulc.

Wrembel zaniepokoił się.

— Kopertę? — jego palca chytrze, ukradkiem przebiegły ją kilka razy — uśmiechnął się. — A tak, trochę grubsza, nie ta, co zwykle.

Pulc wyjął chustkę i otarł nią spocone czoło. Listonosz Krobiak wstał cicho i podszedłszy na palcach poświecił mu w oczy latarką elektryczną. Światło błysnęło na okularach niby w nieruchomych zielonych stawkach.

— W imię ojca i Syna — przeżegnał się głośno Guderski i westchnął potężnie.

Tymczasem znakomity malarz i poszukiwacz wrażeń wymowny Pulc, ochłonął.

— A więc stało się — rzekł już swym naturalnym głębokim basem, puszczanym nieco przez nos. — Wzrok pana słabł coraz więcej, aż oto dziś słońce boże zgasło dla pana na zawsze. Nigdy już pan nie zobaczy...

— Panie Pulc! — krzyknął Guderski — lepiej mu pan list przeczytaj, przestań mu trajlować o tych oczach!!

— Tak, tak dosyć tego gębowania! — wrzasnęli za Guderskim obecni.

Pulc obejrzał się ze zdumieniem. Przerwano mu. Jak śmieli mu przerwać. Ale nie należał do ludzi odważnych. Ze wszystkich tych do obrzydzenia znanych twarzy, wychyliło się coś niebezpiecznego. Pulc po raz pierwszy w życiu zapomniał języka w gębie. Zresztą... cóż za wspaniała scena. Ociemniały ojciec, który za chwilę usłyszy ostatni list z szeregu listów pisanych przez genjalnego znawcę dusz ludzkich.

— Przeczytamy list — oznajmił.

Wrembel zasunął się w kąt stołu niewidoczny i mały. Nie siedział na ławie. Był płasko przyczepiony do ściany, jak przerażona światłem ćma. Szybkie kurcze latały po jego twarzy. grożąc naglem sprzęgnięciem się w krzyk bólu.

Guderski wysunął się zza lady, czerwony, nabrzękły z nieprzytomnemi oczyma.

— Nie umarła — szeptał — nie umarła groził pięściami — czytaj jak zawsze ty brodata pokrako.

Pulc drżącemi palcami począł rozrywać kopertę. Czuł doskonale, że Guderski nie myślał żartować. Oto zbliża się chwila wielkiej improwizacji. Czy muza będzie życzliwa dla niego i zeszle natchnienie? W miejsce świetnie ułożonego listu, zawiadamiającego o śmierci Wremblówny, miał odczytać z własnej wyobraźni list tkliwy, czułością nasycony, owiany tęsknotą do domu i dawno niewidzianego ojca. Wielkie cielsko Guderskiego stanęło nad nim z zupełnie niedwuznaczną groźbą. Kto wie? Może śmierć jego w tej chwili chyżemi skokami przyleciała z ciemności i stoi za drzwiami gotowa do ciosu. Rozdarł ostatni róg koperty, wyciągnął złożony w dwoje list i wzniósłszy natchnione oczy ku górze zaczął pewnym głosem.

— Drogi mój ojcze...

W tej chwili Wrembel skręcił się, jak trafiony kulą, załkał krótko i uderzył głową o stół. Podbiegli ku niemu i pochwyciwszy go za ramiona, poczęli gadać jeden przez drugiego. To małe zawołanie rozwiązało języki wszystkim. Niechże nie płacze. Będą przecież o nim pamiętać. Co tam oczy. Czy w ich miasteczku jest coś godnego do zobaczenia. Czy nie pamięta wszystkiego tak dobrze, że mu starczy aż do grobu. Niechże to wszystko rozważy i będzie rozumnym człowiekiem. Musi się trzymać dobrze. Jakże! Córka przyjedzie, więc będzie musiał wyglądać wesoło i pulchnie... rumiano. Toby ją mogło zabić. Zresztą pojedzie się do lekarza, zobaczy się. Może jeszcze znajdzie się rada. Dzisiaj lekarze są mądrzy. Umarłych potrafią z grobu wywlec.

Wrembel uspokoił się całkowicie. Siedział znowu pogodny i zrezygnowany. Nie bolała go strata oczu. Wiedział, że to przyjdzie, ale nie chciał, by o tem w miasteczku wiedziano. Trudno.

— Usiądź - se pan tu wygodnie — namawiali.

Guderski skoczył za ladę i napełnił wszystkie szklanki piwem. Dla Wrembla przeznaczył największą pamiątkową szklanicę z Monachjum. Niechże się pocieszy. Wszyscy teraz sobie posłuchają, co tam córka w dalekich krajach porabia. Zdaje się, że coś tam pisze o przysłaniu piętnastu dolarów — rzekł Guderski — coś tak pan Pulc mówił — i tu kilkakrotnie mrugnął na Pulca.

Pulc spojrzał z żalem na list z czarnemi obwódkami. Pracował nad nim dwie noce. Przepiękny ułożył list.

Pogadali jeszcze czas jakiś, trącili się szklanicami, a Pulc już zupełnie przyszedł do siebie. Zaimprowizował pewnym głosem.

— Drogi mój ojcze.

— O, tak pisze — przerwał Guderski — co tam dalej...

*

W pół godziny później Wrembel, zataczając się trochę, wracał do domu. Nikt nie odważył się zaproponować mu odprowadzenia. Z jego zniknięciem zapomniano o nim odrazu. Trzeba przyznać, że ta historja wyciągała się bez końca i wszystkim sprzykrzyło się już odczytywanie listów od lekkomyślnej, wesołej Wremblówny. Cóż teraz? Znowu będą musieli kłamać? Wremblówna była o krok od śmierci i wywinęła się. Umarł zato siwy patrjarcha, wielki człowiek Pulc. Oto co dobrze pamiętali. Guberski podtykał mu pięść pod nos i krzyczał „brodata pokrako". Spoczatku ogarnęła ich zgroza, ale teraz zrozumieli, że przez wiele lat byli ślepi, nie widząc w tym pęcherzu siwej pokraki. Uśmiechali się ironicznie i poczęli mu przygadywać głosem zuchwałym.

— Oto na co się człowiek naraża, żyjąc z chamami — wrzasnął wkońcu Pulc i pożegnany zgodnym rykiem śmiechu wybiegł z oberży. Usiłował dogonić Wrembla, lecz ciemności były tak gęste, że zaraz za progiem wyrżnął czołem o mosiężny, zbyt nisko wiszący talerz fryzjera. Chwilę szedł ścieżką i był pewien, że natknie się na mur parku. Zaplątał się jednak w jakieś krzaki i nie mógł zrozumieć, skąd się one tu wzięły. Potem chlupnęła mu pod nogami woda. Gdy wyciągnął ręce przed siebie, chwycił za drut kolczasty, raniąc się w dłonie.

— Panie Wrembel! — krzyknął z rozpaczą.

— A kto tam? — usłyszał głos z oddalenia.

— Ja, Pulc. Nie wiem, gdzie jestem, nic nie widzę.

Ozwał się wesoły śmiech.

— Idź pan wzdłuż płotu. A powoli, bo tam jest wielki kamień.

— Już go mam.

— Teraz będzie mostek. Jest?

— Zaraz, zaraz... o! już.

— I ścieżką koło kościoła na rynek. Furtka będzie jeszcze otwarta. Słyszałem jak skrzypi na wietrze.

Pulc wydostał się na drogę i zawołał Wrembla znowu. ale już mu nikt nie odpowiedział. Wrembel zniknął w ciemności.

Miłosz Gembarzewski

Fillebornowie

Daniel Filleborn, pierwszy tenor Opery w Warszawie w końcu XIX wieku, jako śpiewak i aktor operowy, przesłonił imieniem swojem poprzedników i sobie współczesnych, zawładnął w swej dziedzinie sceną stulecia, i ani przedwcześnie, wśród intryg, schodzący w cień — Dobrski, ani zdobywający zagranicą uznanie — Reszkowie, nie panowali tak bohatersko, a lirycznie, jak on, szwedzko - ukraiński potomek, ale nasz, herbu Korwin Sarmata, który mimo dramatów, ściemniających mu schyłek życia, mówi do nas prawdziwie napisem z grobowca swego powązkow-



Daniel Filleborn, słynny śpiewak.

skiego, lat temu równo trzydzieści wzniesionego mu przez brata: — „Nie mam żalu do nikogo".

Ani metalicznie dźwięczne płyty nie przekazały nam odblasków jego mistrzostwa, ani rozsypywane autografy i czerń czcionek biografji nie tworzą dziś przed naszemi oczami zarysów jego postaci duchowej, szkiców jego gestu. Jest w pamięci dawnego pokolenia, a zebrane z archiwów i starych czasopism wiadomości składają się tylko na niewielki rozmiarami życiorys, którego tytuł — nazwiskiem — przypomina życie młodej literatury przed stuleciem blisko: gdy cyganerji poetycznej w Warszawie przewodził stryj Daniela — Seweryn Filleborn.

W 1841 r., w parafji św. Andrzeja, ochrzczono Daniela Teodora, syna Józefa i Heleny z Glogerów. Talent śpiewaczy był dziedzicznym w tej rodzinie: brat Daniela, Kazimierz, był również artystą opery, brat stryjeczny — Juljan, obdarzony był pięknym głosem, przetrwał ten dar w różnych linjach (odgałęzionych już w XVIII stuleciu) do ostatnich pokoleń.

Rodzice Daniela mieszkali, koło 1855 r., w domu t. zw. Neprosa przy pl. Teatralnym. Przyszły pierwszy tenor rzucił kiedyś stamtąd szkłem w maszerujące wojsko rosyjskie; wynikły stąd prześladowania ze strony władz, tembardziej zagrażające, że p. Józef Filleborn, znany wówczas przemysłowiec-bronzownik, ukrywał w swem mieszkaniu zięcia poszukiwanego przez moskiewskich żandarmów, za co odpokutował dziesięciomiesięcznem więzieniem w Cytadeli.

Daniel nie chciał pracować w przemyśle bronzowniczym, oddany więc został praktycznie na naukę... do zegarmistrza Lilpopa, rezydującego przy ul. Senatorskiej. Tam nastąpiła chwila przełomowa.

Kiedyś, do Lilpopa przyszedł Jan Quatrini, dyrektor Opery warszawskiej; i zdumiał się słysząc melodyjne gwizdanie, dochodzące z pracowni zegarmistrzowskiej. O tem gwizdaniu pisał później we wspomnieniach Franciszek Kostrzewski — nikt tak nie gwizdał — przedtem ani potem: piosenki, całe arje.

— Kto to jest? — spytał Quatrini starego fabrykanta.

— To mój uczeń: Filleborn — odpowiedział zakłopotany Lilpop.

— To jest talent, artyzm!

Daniel Filleborn został uczniem i wychowańcem Quatriniego; wyjechał do Medjolanu, gdzie kształcił się pod kierunkiem maestro Pratti, a potem Lampertiego. Wróciwszy do kraju, wystąpił po raz pierwszy na scenie warszawskiej, w 1862 r., grając rolę tytułową w operze „Aleksander Stradella". Zdobył odrazu wawrzyny triumfalne.

Krytycy, pisząc o nowych operach zagranicznych, marzyli, aby czołowe postacie tych utworów odtwarzał Filleborn. On przy urzeczywistnieniu dzieła nie zawiódł nigdy, chyba pod tym względem, że przewyższał oczekiwania. — W 1870 r. Kleczyński pisał o „Lalla Roukh", operze Felicjana Dawid'a: „zasługuje ona, aby ją na naszej scenie kiedy wykonano. P. Filleborn zdołałby wlać w swą partję bardzo wiele poezji". — I „Lalla Roukh" była zwycięstwem naszego śpiewaka podobnie, jak „Ernani", „Traviata", „Bal Maskowy", „Biała Dama", „Cyrulik Sewilski", „Halka", w której był nieporównanym Jontkiem.

„Głos nadzwyczajnej rozległości, skali, jako aktor przewyższał wszystkich współczesnych mu tenorów europejskich" — pisano wtedy o nim.

Recenzje zachowane w znanych zbiorach p. Edwarda Wrockiego, w Warszawie, są świadectwem z epoki. A były to czasy, gdy w szarych dniach, stłumionem życiu, koło 1870 roku, wobec krzewiącego się pozytywizmu — płodu niewoli: opera była wielkiem światłem Warszawy. Świątecznie szedł tam i Rzecki Prusa i p. Kazimierz Norski, panna Joasia, nawet Korkowiczowie. Było to samo, co w Sankt-Petersburgu („Pitierze"), w którym, w 1874 r., gościł Daniel Filleborn, o czem pisał korespondent ówczesnych „Kłosów": „... Na bileta nieraz setki osób czekają po kilkanaście godzin. Znam młodych ludzi, którzy parę razy z serdelkami, bulkami i innemi przyborami, od jedenastej godziny wieczorem, przepędzali noc pod drzwiami kassy, by o dziewiątej rano dostać owe bilety, pod nosem innych wielu, co tylko o czwartej lub piątej przychodzili rano".



Dawny dwór Fillebornów w Kamienicy, w Płockiem.

Jakiż to balet u nas musiał być w 1850 r., jeśli w przededniu wojny francusko - pruskiej pisano po balecie „Flick i Flock": „Balet ten przypomina czasy najświetniejszych u nas widowisk przed dwudziestu laty". A przecież na scenie przesuwały się wtedy świetne dekoracje, przedstawiające „stolice europejskie", „tańce ludowe narodów". — Nie było sceny, baletu, dekoracji — był tylko Daniel Filleborn.

On śpiewał zwykle sekundowany przez Dowiakowską i Cieślewskiego; brał udział w koncertach z Modrzejewską; odtwarzał postacie moniuszkowskie: „Filleborn zrozumiał myśl kompozytora podnosząc wybornym śpiewem wartość dzieła". — Najdrobniejsze klejnoty twórcy „Halki" pałały całym blaskiem. „Piosenka Moniuszki, napisana do słów Mickiewicza „Panicz i Dziewczyna", którą pan Filleborn nie powiemy wyśpiewał, ale wynucił z takim wdziękiem i ujmującą prostotą, że nie słyszeliśmy romansu tak znakomicie oddanego z cechą lekkości, swobody". („Przegląd Muzyczny" w „Kłosach" 1869 r.).

Artysta nie szczędził siebie. Niepospolity talent, uroda i wszystkie zalety towarzyskie jednały mu tłumy przyjaciół. Dawano mu często rady nieopatrzne; męczono zaproszeniami. Nieraz z fife o'clocku najarystokratyczniejszego lub nawet z polowania w mazurskich borach, śpieszył na scenę. Głos potężny, talent wszechstronny, ale życzliwi byli zaniepokojeni: W „Lukrecji" i „Janie z Leydy" Meyerbeera „Filleborn w roli Gemara był czarującym, o jakże chętnie zwolnilibyśmy tego artystę od ról mordujących, na które narażony bywa, by pozostawić go wiecznie na właściwem mu polu liryzmu i wdzięku... „Lukrecja" jest tego dowodem, bo przecież to partja wysoko pisana, a jednak artysta wykonał ją cztery razy bez zmęczenia".

Wszystko było więc możliwem dla śpiewaka „który i małą piosenkę i arję oddać umie". Jednak w 1886 r., zmęczenie zaciężyło nad artyzmem: Daniel Filleborn zszedł ze sceny.

Zmarł w czerwu 1904 r., na zapalenie płuc. Żonaty był z Marją z Czuleńskich. Bezdzietny. Pamięta go jeszcze wielu nam współczesnych dawnych słuchaczów, widzów i artystów. Piszący te słowa rozmawiał o Fillebornie z mistrzem Ludwikiem Solskim, przywołującym pamięci żywe wspomnienia.

Powiedzieliśmy, że talent śpiewaczy przetrwał w rodzinie słynnego Daniela — pokoleniami. Tenor liryczny, umiejący być bohaterskim, objawił się na szarem, równinnem Mazowszu, ale z jakich źródeł atawistycznych czerpał tchnienie? — W 1706 roku, aktem zapisanym w księgach sądowych grodu kijowskiego, Piotr Filleborn, rotmistrz wojsk polskich, wprowadzony w posiadanie dziedziczne dóbr Zubowszczyzny w kijowszczyźnie; wnuk jego Samuel osiadł w warszawskiej jurydyce Leszno i pozostawił liczne potomstwo: synem jego był sławny napoleończyk, dowódca 4-go p. ułanów w 1831 r., Jan Antoni, którego linja wróciła na rolę, dziedzicząc liczne dobra: Rochaliki pod Błoniem, Tyszki, Kamienicę, Gawarzec w płockiem. Zachowały się wspomnienia o pochodzeniu z Szwecji, sięgającem chyba czasu królów Wazów, jeśli Piotr, już w 1706 r. był oficerem polskim, a nie armji Karola XII-go. Z nadmorskiej



Iwon Filleborn, literat.

północy i dnieprzańskich nastrojów zebrane dźwięki, mazowiecką nutą pobudzone, wypowiedziane były przez Seweryna Filleborna krótkotrwalej, nie tak rozlegle, jak wyśpiewał je później Daniel. Jednak podobnie, jak z piewszym tenorem, nietylko nazwiskiem, ale talentem pokrewni są jego kuzyni z paru pokoleń, tak samo bliskim, po wielu latach, Sewerynowi „księciu cyganerji literackiej" okazał się potomek pułkownika Jana Antoniego, tłumacz Gorkiego i sam twórca, — poeta Iwon Filleborn, ur. w 1876 r., zawcześnie zgasły, przywódca polskiej młodzieży akademickiej w Dorpacie, prezes korporacji „Welecya".

Chyba te lata, kończące wiek XIX, przypominają ciemne wiosny przed „wiosną ludów", poprzedzając przełomową wojnę. Iwon Filleborn był, podobnie jak Seweryn, szlachetnie młodym wśród swego pokolenia, i na ziemi łotewskiej, wiodąc mniej cygańskie, więcej społeczne życie, pisał szczerze. Opracowując przed paru laty życiorys „przywódcy cyganerji warszawskiej" stwierdziłem, że jego dziedziną były liryki egotyczne, zamyślenia smutne, dziwne u przedstawiciela bujnej młodzieży; charakterystyczne również tytuły: „Myśl", „Do myśli". — Iwon Filleborn, znamienne, że jest najbliższym również tej dziedzinie natchnień:

„O morze, ile razy w twe głębie [zapadnie
Myśl ludzka, pełną życia [powierzchnią złudzona...
. . . .
I coraz większa ciemnia czyha w [głębi zdradnie...
A powierzchnia tak jasna i słońcem [olśniona
I czysta, jakby obce namiętnościom [łona;
Choć co drzemie w ich głębi — któż [kiedy odgadnie?
. . . .
Ty, myśli, szukasz zguby w twym [tułaczym biegu
I wciąż musisz się wtapiać w czarne [chłodne wody,
Gdzie czeka tajemnica".

W tłumaczeniach z Gorkiego zachowany rytm, swobodnie mkną słowa - obrazy: „Jesiennemi wiatry gnane, lecą z chłodnych wyżyn hen, płatki śniegu, białe kwiaty, pogrążone w martwy sen. Krążą ponad chorą ziemią...".

Jest częstem pracowite, jakby rzemieślnicze, dorabianie się materjalne w rodzinach—ale istnieć może i talent wśród pokoleń, które go przedstawiciele mają zasługę nieocenioną: ozdabiają życie; sami hojnie obdarzeni przez przyrodę, nie pomną doznawanych przeciwności, ukochani przez sobie współczesnych i przez mitycznych bogów, odchodzą „nie mając żalu". — Takim był Daniel Filleborn.

Rewja sprzed trzech wieków

Ciekawe wiadomości o wewnętrznem, codziennem życiu dworu znajdujemy w niedawno wydanej książce zamiłowanego badacza Louis Batiffol'a*), który z właściwą uczonym francuskim lekkością roztacza przed nami barwny obraz blasków i cieniów życia dworskiego za Henryka IV, zamordowanego w r. 1610 na ulicach Paryża, oraz za syna jego, Ludwika XIII, którego epokę spopularyzował na całym świecie A. Dumas w swych „Trzech Muszkieterach".

Luwr nie był wówczas tym wspaniałym pałacem, który ściąga dziś rzesze turystów z całej kuli ziemskiej. Zajmował zaledwie czwartą część dzisiejszej powierzchni, starczał zaledwie na pomieszczenie rodziny królewskiej.

Na tle tej oprawy rozgrywa się życie dworskie, snują się intrygi polityczne i osobiste, tragedja przeplata się z dramatem, komedją i... farsą.

Kilkutysięczny rój dworzan, szlachty, zaniedbującej gospodarstwo i rujnującej majątki, byle tylko oddychać atmosferą dworską, zapełnia ustawicznym pogwarem większe i mniejsze sale. Trzeba im dać temat do rozmów nieszkodliwych, zająć niewinną rozrywką, bo inaczej staną się groźnym dla spokoju króla elementem intryg politycznych. Zrozumiała to już Katrzyna z Medyceuszów, wyprowadzając za swej regencji zwyczaj stałych balów dworskich, odbywających się co czwartek i co niedziela.

Zwyczaj ten zachował się i za Henryka IV. Zmieszajmy się z tłumem zaproszonych książąt i księżniczek, arystokracji, szlachty, pań i panien dworu i wybierzmy się na jeden z tych balów.

Zaczynają się one o 6-ej wieczorem, a widownią ich jest wielka sala Luwru na I-em piętrze, wokół której ustawiono amfiteatralnie kilka rzędów miejsc siedzących, wśród nich królewskie fotele Henryka IV i żony jego, Marji Medyceuszki. Środek sali jest wolny: na nim odbędzie się „program atrakcji".

Sala zapełnia się. Kontrolowani przez kapitana straży przybocznej goście napływają coraz liczniej. Ścisk okropny. Barjera, ochraniająca środek sali, ledwie nie pęka pod naporem tłoczących się elegantów. Dość powiedzieć, że syn Henryka IV, Ludwik XIII, nie mógł raz przecisnąć się do sali balowej, tak zatkane były wszystkie wejścia tłumem zaproszonych.

Wreszcie śledzie w beczce się utasowały, muzykanci rozpoczynają przygrywać do tańca. Taniec ówczesny, to taniec stylowy, w którym para, trzymając się za ręce, wykonywa pełne wdzięku i elegancji ewolucje w ruchach rytmicznych, zrównoważonych i harmonijnych. Nazwy poszczególnych tańców świadczą o ich wiejskiem, ludowem pochodzeniu. Czasem tancerze pojawiają się w przebraniu, np. za Kupida, tancerki zaś przebrane kryją twarz pod maską.

Ponad tańce jednak kochano się wówczas w balecie, całkiem zresztą niepodobnym do dzisiejszego. Muzyka i scenarjusz służą bowiem tylko za pretekst do przepychu wystawy, do demonstracji przebogatych strojów, zdobiących najwietniejsze osoby królestwa, z członkami rodziny królewskiej, ba, nawet parą królewską osobicie, na czele.

Jest 23 stycznia 1605 r., obok nas stoi Peiresc, który opisze potem w jednym ze swych listów przebieg baletu, jaki za chwilę ujrzymy.

Sala wypełniła się już do niemożliwości. Wokół barjery cisną się panowie, damy za nimi na wzniesieniu. Henryk, bezceremonjalny, jak zwykle, wchodzi wspaniale ubrany, ze szpadą u boku, bez żadnej asysty, trzymając w ręce laskę, którą za chwilę „wyczyniać" będzie szerokie gesty, wskazujące należyte rozmieszczenie dostojnych gości. Obchodzi środek sali, lustrując zgromadzenie i bezapelacyjnie wyrzucając za drzwi zbytecznych. Wreszcie zasiadł na swem miejscu.

Widowisko się zaczyna.

Wkracza muzyka: trzydziestu skrzypków, trzydziestu lutniarzy i zwykła orkiestra królewska, wśród której trzydziestu chórzystów. Wszyscy wspaniale ubrani. Wśród nich słynna śpiewaczka włoska.

Teraz następuje właściwa rewja (tak, rewja, proszę Państwa!), mimo królewskiego przepychu przypominające trochę — cyrk.

Karzełek królowej, jak nowoczesny clown, obiega salę, fikając uciesznе kozły i strojąc miny, pobudzające do śmiechu.

Po nim wkracza, poprzedzany dwunastu paziami, książę Vendôme, oznajmiając wejście królowej. Jedenaście księżniczek otacza ją, gdy krokami drobnemi przemierza salę, aby zasiąść na swym tronie.

Wszyscy muzykanci wraz ze śpiewaczką grupują się przed Ich Królewskiemi Mościami. Cudowna arja „boskim śpiewana głosem" rozlega się donośnie w natłoczonej sali. Wrażenie ogromne, lecz zanim ochłonęliśmy, już od drzwi dźwięczy ogłuszający marsz wojenny, wykonywany przez zespół dwunastu trąb i dwunastu bębnów. Siedząc na małym stołeczku, książę de Nevers wjeżdża na salę, a towarzyszy mu zamiast lokaja — małpeczka.

Czy nas wzrok nie myli? Przecie za nim postępuje siedem wielbłądów, na których siedzą groźni Turcy! — Całe szczęście, że te wielbłądy — to przebrani ludzie, inaczej bowiem krucho mogłoby być z natłoczonymi gośćmi. Pierwszy wielbłąd klęka przed królem, który wyjmuje mu z zębów koszyk z wyzwaniami na rycerskie zapasy, poczem wyzwania rozrzuca pomiędzy dostojników dworskich. Nowa uciecha się gotuje!

Tymczasem, wśród piekielnego hałasu trąb, bębnów, skrzypiec, ludzi, słowem całego zespołu muzycznego — wielbłądy opuszczają salę i rozpoczynają się tańce.

Do czwartej rano trwa zabawa, ale zdarzało się, że i o ósmej jeszcze tańczono.

A teraz, wyobraźmy sobie, jaki okropny zaduch musiał panować na przetłoczonej do ostateczności sali, i jak musiały wyglądać pod koniec zabawy wspaniałe, z najdroższych materjałów uszyte, wspaniałemi klejnotami obsypane stroje jej uczestników!

Uprzytomnijmy sobie ogłuszający ryk trąb, nieuporządkowaną wrzawę muzyczną i, przecierając oczy ze zdumienia, zapytujemy: „Więc to nie dzisiejsza nocna zabawa, gdzie zaduch, tłok i wrzask jazz - band'u takież same dają efekty?".

Podwórze pałacowe stanowiło również teren pochodów maskaradowych, wielkich ewolucyj zespołu dworaków, dających ku uciesze nieprzejrzanych tłumów widowiska pod gołem niebem, w dzień lub w nocy, zawsze we wspaniałych kostjumach, zawsze urozmaiconych produkcjami przypominającemi cyrk.

A. R.

*) „Le Louvre sous Henri IV et Louis XIII". Paris, Calman-Lévy, Editeurs, 1930.

O przekładach Kasprowicza

W nr. 17 „ABC literacko - artystycznego" z roku bieżącego podał p. Kazimierz Marjan Morawski w artykule „Jeszcze jeden Kraków" wiadomość, jakoby Jan Kasprowicz ogłosił w krakowskiem „Museion" przekłady z Hezjoda i Vergiliusa. Wiadomość tę pragnę sprostować, na podstawie bowiem dokładnego przejrzenia trzech roczników „Museion" (1911 — 1913) stwierdzam, że Kasprowicz nie pomieścił w czasopiśmie tem żadnych tłumaczeń ze wspomnianych obu autorów; wogóle nigdy nic z nich nie przełożył.

W „Museion" natomiast pomieścił przekład „Tarczy Heraklesa" Hezjoda Artur Górski (1911, zeszyt 7 — 8), a przekład II Księgi Eneidy Ludwik Hieronim Morstin (1911, zeszyt 1 i 3).

Przy tej sposobności pragnę też sprostować wiadomość podaną w bibljografji Kasprowicza, wydanej przez Kazimierza Czachowskiego (Jan Kasprowicz. Próba bibljografji. Kraków, 1929, str. 29), jakoby Kasprowicz w roczniku VI czasopisma filologicznego „Eos" z r. 1900 przetłumaczył pieśń IV Iljady Homera. We wspomnianym roczniku znajdzie się urywek przekładu Kasprowicza z tragedji Aishylosa „Chaeforri". Homera wogóle Kasprowicz nie tłumaczył.

Wiktor Hahn